

Sokrates z Berdyczowa

Grzegorz Przebinda

W Polsce ukazała się wielka powieść Wasilija Grossmana *Życie i los*. Grossmanowi zarzucano często – nawet w dobrej wierze, w imię obrony ideałów demokratycznych – fatalizm w odniesieniu do Rosji, niewiarę, że może ona rozwijać się w sposób wolny, inaczej niż przez tysiąc lat niewolnictwa.

Wasilij Grossman (1905-1964) przeszedł do historii literatury głównie jako autor dwóch późnych powieści, które śmiało można wpisać na listę arcydzieł prozy rosyjskiej XIX i XX wieku. Pierwszy z tych wielkich utworów – 170-stronicowa mikropowieść *Wszystko płynie* – powstał w latach 1955-1963, utwór drugi – 870-stronicowa epopoja *Życie i los* – został ukończony w 1960 roku i natychmiast skazany w ZSRR na unicestwienie.

Mimo że Grossmana w stalinowskim ZSRR publikowano już od 1934 roku, to od swego debiutu nie napisał nic, czego musiałby się wstydzić. Owszem, skoro żył w tym kraju i chciał tworzyć, musiał iść na pewne ustępstwa wobec władzy, która na przykład nakazała mu zmienić tytuł jednej z powieści – utwór *Za słuszną sprawę* (1952) w autorskim zamierzeniu miał nazywać się *Stalingrad*, bo Grossman przeżył okupację miasta jako korespondent wojenny. Odmówiono jednak Żydowi – a było to dokładnie w czasie przygotowywania przez Stalina sfingowanego procesu przeciwko rzekomym żydowskim „lekarzom-mordercom” – prawa do tak ogólnego przemawiania w „imieniu narodu”. Za namową Aleksandra Twardowskiego, redaktora naczelnego miesięcznika „Nowyj Mir”, autor wstawił też do powieści dość nijaki rozdziałik o Stalinie.

Należy jeszcze dodać, że Grossman – w późnych latach życia jeden z najbardziej przekonanych i konsekwentnych antyleninistów – jeszcze w wieku średnim ponoć „kochał Lenina”, jak zresztą większość mieszkańców Kraju Rad. Tak przynajmniej wspominał znający go dobrze Ilja Erenburg. Nadmienmy, że obaj przygotowali wspólnie słynną *Czarną księgę* (1946, opublikowaną po rosyjsku dopiero w 1980 roku w Jeruzolimie) – katalog zbrodni nazistowskich wobec Żydów w Europie Wschodniej. Fundamentalna praca ani w momencie swego wydania, ani niestety dziś nie cieszy się należną sławą zarówno w ojczyźnie swego powstania (Rosja), jak i w krajach sąsiednich. A są tam przecież rozdziały pamiętne i wstrząsające,

fragmenty odnoszące się do nazistowskiej cywilizacji łagrowej w zachodniej Estonii nad Zatoką Fińską (obóz Klooga), na Litwie (Ponary), w Polsce (Treblinka, Oświęcim). Gdyby teraz polski czytelnik dostał wreszcie do ręki przetłumaczoną *Czarną księgę*, na pewno ze łzami w oczach przeczytałby takie jej fragmenty, jak *Treblinka*, *Dzieci z czarnej drogi*, *Powstanie w Sobiborze*, *Oświęcim*, *Powstanie w getcie warszawskim*.

Berdyczów – rok 1920

Grossman jako pisarz i człowiek zawsze był uczciwy wobec bliźnich. Nawet jego utwory z lat trzydziestych – choćby niedokończona powieść produkcyjna *Stefan Kolczugin* (1937-1940) – i dziś mogą być czytane z zainteresowaniem nie tylko przez historyków literatury. Od samego początku podejmował tematy coraz bardziej niewygodne dla władzy. Bronił otwarcie wolności, co było, przynajmniej, bardzo rzadkie wśród pisarzy ZSRR.

Przyszedł na świat w żydowskiej rodzinie w Berdyczowie na Ukrainie. Jeden ze swych pierwszych utworów – piętnastostronicowe opowiadanie *W mieście Berdyczowie*, które uważał za prawdziwy debiut (1934) – poświęcił właśnie temu miastu w okresie wojny polsko-bolszewickiej na Ukrainie w 1920 roku. Wielokulturowy Berdyczów, gdzie dotąd starali się współistnieć ze sobą wyznawcy judaizmu, katolicy, prawosławni i ewangelicy, w latach 1918-1920 stał się areną krwawych wydarzeń, które młody Grossman wraz z matką musieli oglądać. Opowiadanie zostało wydane w 1934 roku w piśmie „Litieraturnaja Gazieta” i od razu doczekało się pochwał ze strony tak różnych pisarzy, jak Maksym Gorki, Izaak Babel i Michał Bułhakow. Główna bohaterka, Klaudia Wawiłowa, czerwona komisarz-kawalerzystka, zaszła na front w ciężę ze współtowarzyszem bojów. Zajęta dniem i nocą walką z Polakami pod Hrubieszowem, nie znalazła czasu na zabieg:

„– Spędziłam płód – powiedziała basem – ale zapuściłam go; sam wiesz, pod Hrubieszowem trzy miesiące z konia nie złożyłam. A przyjechałam do szpitala, to doktor nie wziął się już za dzieło.

Pociągnęła nosem, jakby zamierzała zapłakać.

– Groziłam mu mauzerem, przekłębtemu, groziłam, odmówił, późno, rzeczy” (tłum. aut.).

Ojciec dziecka zginie niebawem w walkach z Polakami, a sama Klaudia, bliska już rozwiązania, poprosi rozbawionego tą sytuacją przełożonego („nawet głos u niej nie babi, a wychodzi, że natura swoje bierze”) o urlop. Otrzymuje go i odnajduje schronienie na czas porodu właśnie w Berdyczowie, w domu wielodzietnego Żyda-rzemieślnika Chaima Abrahama Magazanika. Wzruszające są opisy rozmów niezłomnej 36-letniej komisarz Wawiłowej z piękną Bajłą Magazanikową, która urodziła Chaimowi gromadkę

dzieci („siedmioro oberwańców, kędzierzawych aniołków”), zawsze była wierną i pracowitą żoną oraz czułą matką. A teraz cierpliwie uczyła prawdziwego życia twardą komunistkę, która pamiętała tylko front.

Sam Grossman przed 1941 rokiem nie czuł się jeszcze Żydem, ale jako pisarz był już zapewne wrażliwy na estetyczne piękno i przesłanie moralne judaizmu, skoro z taką empatyczną wrażliwością opisywał Żydów w Berdyczowie, wracających do domu z synagogi i taszczących pod pachą zwinięte stroje modlitewne, szkicował w swoim berdyczowskim opowiadaniu płoche dziewczęta żydowskie, łuskające

słoneczniki i szczerzące zęby do przystojnych krasnoarmiejców, którzy akurat wtedy zapanowali nad miastem... Albo tak barwnie odmalował targ żydowski, zwany Jatkami, na którym stał dom Magazaników:

„Cały dzień na Jatkach kipiał kocioł, chłopcy handlowały białymi, dosłownie jak pomazanymi kredą, brzozowymi polanami, baby szeleściły wiankami cebuli, staruchy Żydówki siedziały nad pulchnymi pagórkami związanych za łapy gęsi. Handlar-

ka wyciągała z tego strojnego białego kwiatu żywy płatek z wijącą się szyją, a kupujące dmuchały na delikatny puch między łapami i macały tłuszcz żółciejący pod ciepłą, miękką skórą. (...) Naród sprzedawał, kupował, macał, próbował, podnosząc w zadumie oczy do góry, jakby oczekując, że z błękitnego, delikatnego nieba ktoś im poradzi – kupić szczupaka czy lepiej karpia. A przy tym wszyscy przejmująco krzyczeli, zaklinali się, rugali nawzajem, śmiali się”.

Komisarz Wawiłowa zrazu po rozwiązaniu poczuła się nawet matką, a kiedy w domu nikogo nie było, „cichutko śpiewała człowieczkowi pieśni, a człowieczka zwali – Alosza, Aloszeńka, Alosza”. Wkrótce jednak zew krwi, przyzywający Klaudię Wawiłową na „sprawiedliwą wojnę”, znowu wziął górę. Najpierw usłyszała warkot wrogich aeroplanów z białą-czerwoną szachownicą na skrzydłach, a potem doszła do jej uszu pieśń młodych ochotników-kursantów, którzy szli od strony Berdyczowa na walkę z Polakami. Porzuciła więc na zawsze synka Aloszę, wdziała na siebie mundur, chwyciła mauzer i pobięła w te pędy za młodymi na front.

Grossman na wojnie – „święta pasja humanisty”

Prawdziwie wielkim pisarzem stał się późniejszy autor epopei *Życie i los* dopiero podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej (1941-1945) – jako wrażliwy reportażysta i głęboki myśliciel, znany szeroko w kraju, a wkrótce również za granicą, głównie dzięki wstrząsającemu opowiadaniu *Piekło Treblinka* (1944). Było ono rozpowszechniane jako broszura oskarżycielska na procesie norymberskim. Andrzej Drawicz napisał w 1968 roku: „*Piekło Treblinka* – cała światowa literatura

Grossman zapisywał tylko to, co słyszał lub widział. Jego wiarygodność można uznać za niemal stuprocentową.

antyfaszystowska być może nie zna utworu o podobnej sile, płynącej ze świętej pasji humanisty, który na własne oczy ujrzał, do czego zdolni są ludzie wobec ludzi” (*Zaproszenie do podróży*). Natomiast Mikołaj Atarow w przedmowie do pośmiertnego wydania tomu utworów Grossmana *Niech wam się darzy* wysunął przypuszczenie, że wstrząsające *Piekło Treblinki* mogło być „ostatnią lekturą Göringa i Kaltenbrunnera”.

W Treblince były dwa łagry. Obóz Nr 1 był obozem pracy albo obozem karnym, w którym przymusowo osadzano Polaków za jakieś mniejsze przewinienia („przypadkowo rzucone na ulicy słowo, niewykonanie dostaw, odmówienie Niemcowi wozu lub konia, zuchwalstwo dziewczyny, która odrzuciła miłosne propozycje esesowca”), ponieważ większe od razu karano śmiercią. Przez Obóz Nr 1, który istniał od jesieni 1941 roku do 23 lipca 1944 roku, przewinęło się – jak dowodził Grossman – pięćdziesiąt tysięcy ludzi, w tym także Żydzi, ale tylko tacy, którzy byli „wybitnymi, doskonałymi specjalistami – piekarzami, szewcami, stolarzami robiącymi wykwiłtne meble, kamieniarzami, krawcami”. Bycie tutaj było więc przywilejem, a jednak każdy z zamkniętych – Żyd czy nie-Żyd – zakończył życie dokładnie w dniu 23 lipca 1944 roku, gdy Niemcy zlikwidowali i łagier, i ludzi już w chwili, gdy „więźniowie słyszeli głuchy łoskot artylerii radzieckiej”:

„23 lipca, wczesnym rankiem, dozorczy i esesowcy, wypiwszy sznapsa dla dodania sobie odwagi, przystąpili do likwidacji obozu. Do wieczora wszyscy więźniowie zostali zabici i zakopani w ziemi. Udało się uratować tylko warszawskiemu stolarzowi Maksowi Lewitowi; raniony przeleżał pod trupami swych towarzyszy aż do zmroku i popęzniętą do lasu. Lewit opowiedział, jak leżąc w jamie, słyszał trzydziestu chłopców, którzy przed rozstrzelaniem śpiewali pieśń *Szyroka strana moja rodnaja* – słyszał, jak jeden z chłopców krzyknął: »Stalin nas pomści«, słyszał, jak po salwie przywódca chłopców, ulubieniec obozu Lejb, który upadł na niego do jamy, podniósł się nieco i powiedział: »Pan nie trafił, panie wachman – proszę pana, jeszcze raz, jeszcze raz«”.

Grossman zapisywał tylko to, co słyszał lub widział, jego wiarygodność można uznawać – niestety, także w tym przypadku – za niemal stuprocentową. Pewnie, że byłoby bardziej dla nas budujące, gdyby rozstrzeliwani chłopcy żydowscy pomogli się do Jahwe, ale oni w rozpaczy woleli odwołać się do Stalina. Grossman zaś – który już wtedy wiedział, kim Wódz jest naprawdę – musiał to wszystko uczciwie odnotować... Dramat pisarza był chyba tym większy?

Był też w Treblince Obóz Nr 2 – obóz zagłady, do którego zwożono głównie Żydów z czterech stron świata: „z Warszawy, Międzyrzecza, Częstochowy, Siedlec, Radomia, Łomży, Białegostoku, Grodna i wielu miast Białorusi, z Niemiec, Czechosłowacji, Austrii, Bułgarii i Besarabii (...).

Transporty ciągnęły ku Treblince przez trzynaście miesięcy. Każdy transport składał się z sześćdziesięciu wagonów, a na każdym wagonie kredą były napisane

liczby 150-180-200. Liczby te wskazywały, ilu ludzi znajdowało się w środku. Obsługa kolejowa i chłopci skrycie rachowali transporty. Chłop ze wsi Wólka (zamieszkaney miejscowości leżącej najbliżej obozu), sześćdziesięcioletni Kazimierz Skarzyński, mówił mi, że bywały dni, kiedy po samej siedleckiej bocznicy przechodziło obok Wólki sześć transportów i prawie nie było dnia w ciągu tych trzynastu miesięcy, żeby nie przyszedł chociaż jeden transport. A przecież bocznica siedlecka była tylko jednym z czterech torów kolejowych, które wiodły ku Treblince. Robotnik kolejowy Lucjan Cukowa, zmobilizowany przez Niemców do pracy na bocznicy wiodącej z Treblinki do Obozu Nr 2, mówi, że przez okres jego pracy od 15 czerwca 1942 roku do sierpnia 1943 roku do obozu bocznica wiodącą ze stacji Treblinka codziennie przybywało od jednego do trzech pociągów. Każdy pociąg składał się z sześćdziesięciu wagonów, w każdym zaś wagonie znajdowało się co najmniej sto pięćdziesiąt osób. Takich zeznań zebraliśmy dziesiątki. Jeżeli nawet dane, które podają świadkowie ruchu transportów w stronę Treblinki, zmniejszymy o połowę, to i tak liczba ludzi przywiezionych tutaj w ciągu trzynastu miesięcy wyniesie około trzech milionów”.

Grossman nie mógł jeszcze wtedy wiedzieć, że w Obozie Nr 2 zginął 6 sierpnia 1942 roku Janusz Korczak. Ale pytał tak: „Kainie, gdzie są ci, których przywoziłeś tutaj?”. Z jawną satysfakcją informował, że ludzie w Obozie Nr 2 nie czekali na rzeź jak barany – 2 sierpnia 1943 roku „zbuntowani skazańcy podpalili obóz i uciekli do lasu”.

„I wierzę w nadejście wolności”...

Nie ma w całej literaturze rosyjskiej XX wieku utworu równie związanego z losami Rosji jak dynamiczna – zgodnie z tytułem – opowieść *Wszystko płynie*. Powstała przez osiem lat, głównie w Moskwie, dokładnie w czasie chruszczowowskiej odwilży, ale Grossman nawet wówczas nie mógł liczyć na jej publikację. Pisał ją gniewnie do szuflady, a szczególnie aktywnie tworzył dzieło po fatalnym dla siebie 1960 roku, gdy KGB skonfiskowało mu rękopis epopei *Życie i los* (jednej z najważniejszych europejskich powieści XX wieku). Pisząc już końcowe fragmenty *Wszystko płynie*, Grossman przyznawał się w jednym z listów, że „woła pracy jest [u niego] tak samo nierozumna jak instynkt życia, tak samo irracjonalna i nie do przezwyciężenia”. Nie tylko aresztowania bał się zresztą wówczas, ale musiał ciągle myśleć – skoro nigdzie go nie publikowano – jak na tę irracjonalną „wołę życia” zarobić. Podjął się więc robienia przekładów, jak wielu wówczas wybitnych pisarzy, na przykład Borys Pasternak. Wyjechał do Erywania, gdzie przełożył na język rosyjski opasłą powieść któregoś z ormiańskich pisarzy. Natychmiast jednak po zakończeniu tej mozolnej harówki wziął się za swoje książki, o czym tak pisał (nie bez autoironii): „Wczoraj ukończyłem tę żmudną robotę [wspomniany »tłusty przekład«], a dziś zacząłem

pisać, zapisywać armeńskie wrażenia. Jak George Sand – o czwartej rano skończyła powieść i nie kładąc się spać, zaczęła następną. Jest, co prawda, różnica: ją drukowali, a mnie już w ogóle trudno zrozumieć. Po co się tak spieszyć...?”. A jednak trzeba było się spieszyć, gdyż śmiertelnie choremu Grossmanowi zostało już wówczas zaledwie kilkanaście miesięcy życia.

W opowieści *Wszystko płynie* wartka akcja toczy się w latach 1954-1955, a główny bohater – Iwan Grigoriewicz – wychodzi na wolność po prawie trzydziestu latach pobytu w łagrze. Od połowy lat dwudziestych był w niewoli (najpierw na zesłaniu w obwodzie semipałatyńskim, jak niegdyś Fiodor Dostojewski) – po tym, jak na uniwersytecie sprzeciwił się „historycznemu materializmowi”, czyli jednemu oficjalnemu wówczas pogładowi na dzieje.

Bohater wracający po trzydziestu latach zza drutów kolczastych do Moskwy, a potem na kilka dni do rodzinnego Leningradu, nie może sobie znaleźć miejsca w nowym świecie. Starzy znajomi lub krewni źle czują się w jego obecności – byli wszak na ogół oportunistami, jak jego stryjeczny brat, moskiewski biolog Nikołaj Andriejewicz, albo donosicielami, jak leningradzki pseudouczony, sybaryta Witalij Piniegin (to on właśnie swym donosem złamał ongiś życie uniwersyteckiemu koledze). Nawet ukochana narzeczona, Anna Zamkowska, stosunkowo długo wierna aresztowanemu Iwanowi, ostatecznie zostawiła go dla innego... Wszelako jedyne dwie istoty, które pomagają powieściowemu bohaterowi odzyskać wiarę w człowieka i nie zatracić nadziei na renesans wolności w Rosji, to też kobiety, pojawiające się przy nim w kluczowych momentach życia.

Jedna z nich – kucharka Anna Michalewa, postać z krwi i kości, dobry człowiek – mogłaby nawet spokojnie zostać towarzyszką życia Iwana w świecie za drutem kolczastym, ale umiera, niestety, na raka płuc... Druga, postać właściwie ze snu, jeszcze w obozie pojawia się w ramionach Iwana jako kochanka, ale mało mówi o miłości, tylko wspomina straszne czasy, gdy jako 22-letnia dziewczyna na własne oczy obserwowwała zbrodnicze „rozkułaczanie” chłopów na rosyjskiej wsi w latach 1929-1930, a potem jeszcze bardziej zbrodniczy okres Wielkiego Głodu, celowo wywołanego przez Stalina na Ukrainie w latach 1932-1933.

Ukraińcy do dziś muszą być wdzięczni Grossmanowi, że bodaj jako pierwszy w świecie pisarz spoza ich ojczyzny, sam szykanowany w ZSRR, opisał wstrząsająco stalinowską zbrodnię popełnioną na ukraińskich chłopach. Iwanowi tak opowiada o tamtych wydarzeniach wspomniana kochanka z łagrowego snu:

„Przyszła męka głodu. (...) I jako aktywistkę posłano mnie na Ukrainę dla wzmocnienia kołchozu. Tam, wśród nich – tłumaczono nam – duch własności silniejszy niż w RFSRR. To prawda, u nich jeszcze oporniej niż u nas wszystko to szło. (...) Jak było? Po rozkułaczeniu zasiewy bardzo się zmniejszyły, urodzaje zrobiły się liche. A podawano w sprawozdaniach, że niby bez kułaków nasze życie od razu rozkwitło.

Rada Wiejska kłamie rejonowi, rejon – obwodowi, obwód – Moskwie. Wszystko jak trzeba: centrum – obwodowi, obwód – rejonom. I wyznaczili nam plan na wieś – przez dziesięć lat tego nie wyrobisz! W Radzie Wiejskiej ci, co nigdy wódki do ust nie brali, ze strachu upili się na umór. Widać Moskwa najbardziej liczyła na Ukrainę. Potem najwięcej złości też było na Ukrainę. Wiadomo – nie wykonałeś, więc widać sam jesteś niedobity kułak.

Planu dostaw nie można było oczywiście wykonać — zasiewy się zmniejszyły, urodzajność zmalała, skąd wziąć to morze ziarna kołchozowego? Widać schowali ziarno niedobici kułacy, nieroby! Kułaków usunięto, ale duch kułacki pozostał. Chłopom na Ukrainie w głowie tylko własność prywatna.

Kto zarządził to morderstwo masowe? Często myślę: czyżby sam Stalin? Chyba takiego rozkazu jak Rosja Rosją nigdy nie było. Takiego rozkazu nie tylko car i Tatarzy, ale i okupanci niemieccy nie wydali. A rozkaz – wytępić głodem chłopów na Ukrainie, nad Donem, na Kubaniu, zabić wszystkich, najmniejsze dzieci także. Polecenie było, żeby zabierać również cały zapas nasion. Szukali ziarna, jakby to było nie zboże, ale bomby czy broń. Ziemię całą podziurawili bagnetami, wyciorami wszystkie piwnice przekopali, podłogi łamali, w ogrodach szukali. (...)

Czego to ludzie na wsi nie jedli! Łapali myszy, łapali szczury, gady, wróble, mrówki, wykopywali robaki, zaczęli kości tłuc na mąkę, skórę, stare śmierdzące podeszwy krajali na makaron, klej wygotowywali. A kiedy trawa wyrosła, chodzili kopać korzenie, gotowali liście, pączki roślin, za wszystko się wzięli: i za dmuchawce, i za łopiany, i za kwiaty polne, i za pokrzywy, i za zioła – rozchodniki inne. Liście lipowe suszyli, tłukli na mąkę, ale mało było u nas lip. Placki z lipy są zielone, a smak jeszcze gorszy od żołądźwiowych.

Pomocy ciągle nie było! Ale wtedy chłopci o nic już nie prosili. Nawet teraz, kiedy sobie to przypominam, od zmysłów odchodzę: czy to możliwe, żeby Stalin wyrzekł się ludzi? Na taką straszną zbrodnię się zdecydował? Przecież chleb Stalin miał, więc umyślnie mordowano ludzi, skazywano na śmierć głodową? Nie chcieli pomóc dzieciom. Czy to możliwe, żeby Stalin gorszy był od Heroda? Czy to możliwe? Myślę, że zabrał zboże, ludzi chleba pozbawił, a potem wymordował głodem. Nie, nie mogło tak być. A potem myślę: przecież tak było! I znowu – nie. To niemożliwe. (...)

Pomór padł na wieś. Najpierw dzieci, starsi i staruszki, potem ludzie w średnim wieku. Z początku chłopci zakopywali zmarłych, potem dali spokój. Walały się więc trupy na ulicach, na podwórzach, o ostatnie zostały w chatach. Zapadła cisza. Wymarła cała wieś. Kto ostatni umierał, tego nie wiem... Nas, którzyśmy pracowali w zarządzie, zabrali do miasta. (...) Więc pytam cię, jakże to może być? (...) Widzisz, minęła nasza nocka, już świta. Pora do pracy się wybierać” (tłum. Wiera Bieńkowska).

To jest właśnie ów Grossmanowski kadisz za zagłodzonych chłopów na Ukrainie i we wszystkich innych rejonach Związku Radzieckiego. Terminu „kadisz” nie

używam przypadkowo. Pisarz bowiem, sam już teraz świadomy Żyd, w powieści *Wszystko płynie* otwarcie mówi, że stalinowski plan ostatecznej likwidacji chłopstwa na Ukrainie i w innych rejonach ZSRR był taką samą zbrodnią, jak potem hitlerowski plan likwidacji Żydów w Europie. Żydom zaś oddawał pisarz sprawiedliwość zarówno we wcześniejszych szkicach wojennych, jak i w eposie *Życie i los*, o czym jeszcze będzie mowa.

Przywołane wyżej sądy nie miały oczywiście szans na publikację nawet w okresie odwilży Chruszczowa, ponieważ ten jako krytyk „kultu jednostki” potępiał Stalina właściwie wyłącznie za zbrodnię popełnioną na bolszewikach. A Grossman poszedł jeszcze dalej i dowiódł w powieści – jako jeden z pierwszych nie tylko w ZSRR – że Stalin był tylko pojętnym uczniem Lenina. Lenin zaś, który dokonał „syntezy niewoli z socjalizmem”, przygotował tym samym grunt dla zniewolenia ogromnej części Europy, Azji i Afryki, poczynając od lat trzydziestych XX wieku:

„Tragedia Lenina była jednak tragedią nie tylko rosyjską, lecz także ogólnoludzką... Czy Lenin mógł przypuszczać, że w godzinie rewolucji, jakiej dokonał, to nie Rosja pójdzie za socjalistyczną Europą, ale utajone niewolnictwo rosyjskie wyjdzie poza granice Rosji i stanie się pochodnią oświeclającą nowe drogi ludzkości...? Rosja nie wchłaniała już wolnego ducha Zachodu. To Zachód patrzył jak urzeczony na rozwój Rosji idącej drogą niewoli. (...) Leninowska synteza niewoli z socjalizmem osołomiła świat bardziej niż odkrycie energii atomowej... Europejscy apostołowie rewolucji narodowych zobaczyli światło ze Wschodu. Włosi, a później Niemcy zaczęli na swój sposób rozwijać ideę narodowego socjalizmu... A światło rozpałało się coraz mocniej – przyjęła je Azja, Afryka... Narody i państwa mogą się rozwijać w imię siły i wbrew wolności!... Nie był to pokarm dla zdrowych, był to narkotyk, lekarstwo pechowców, ludzi chorych i słabych, zacofanych lub bitych... Dzięki woli, pasji i geniuszowi Lenina tysiącletnie rosyjskie prawo rozwoju stało się prawem w całym świecie”.

Grossman dostrzegał oczywiście w Leninie „ludzkie rysy sympatycznego, skromnego inteligenta rosyjskiego”, które „budziły zachwyty milionowych rzesz ludzkich”. Twierdził jednak, że w dziejach Rosji zwyciężyła (a potem tak fatalnie wpłynęła na najnowszą historię Europy Zachodniej) inna, gorsza część leninowskiej osobowości, która „zrodziła się, wyłoniła z tysiącletniej głębi życia pańszczyźnianego, z niewoli rosyjskiej”. Chodziło mu o „nietolerancję Lenina, agresywność, bezwzględność wobec ludzi o odmiennych poglądach, pogardę dla wolności, fanatyzm jego wiary, okrucieństwo wobec wrogów”.

Czy ktoś rozsądny mógłby liczyć w 1963 roku, że podobne fragmenty będzie można opublikować kiedykolwiek w Związku Radzieckim? Przecież nawet w okresie, gdy Stalina odsądzano tam od czci i wiary, Lenin zawsze uchodził, nawet wśród wykształconych elit, za polityka o szlachetnych zamierzeniach, który zapoczątkował

epokowe dzieło sprawiedliwej rewolucji. To dopiero jego samozwańczy uczeń Stalin miał popsuć to przedsięwzięcie. Grossman uważał oczywiście inaczej, po nim to samo będą twierdzić Nadieżda Mandelsztamowa, Aleksander Sołżenicyn, Lidia Czukowska – dziś wszyscy rozsądni wiedzą, że mieli oni rację.

Grossmana często krytykowano za to, że w tysiącletnich dziejach Rosji widział tylko realizację niewolnictwa i – co więcej – twierdził, że niewolnictwo owo stało się nawet wzorem dla ustrojów totalitarnych na Zachodzie (nazizmu w Niemczech, faszyzmu we Włoszech). Nie był on rzeczywiście pozytywnie nastawiony do „mistycyzmu duszy rosyjskiej”, ponieważ uważał, że wywodzi się on z tysiącletniej niewoli. Pisał:

„Gdzież jest ona, ta »dusza rosyjska« – wszechludzka i wszystkich jednocząca, która według przepowiedni Dostojewskiego ma wypowiedzieć ostatnie słowo wielkiej powszechnej harmonii, ostatecznego, braterskiego pojednania wszystkich ludów zgodnie z prawem Ewangelii Chrystusa? (...) Gdzież ta wszechludzka i jednocząca wszystkich dusza, wielki Boże? Czyż wizja proroków Rosji, zapowiadającej przyszły święty triumf duszy rosyjskiej, miała się spełnić w zgodnym zgrzycie drutów kolczastych naciągniętych w tajdze i wokół Oświęcimia?”

Zarzucano mu często – nawet w dobrej wierze, w imię obrony ideałów demokratycznych – fatalizm w odniesieniu do Rosji, niewiarę, że może ona rozwijać się w sposób wolny, inaczej niż było za tysiącletniego niewolnictwa. Jednakże Grossman uważał – tutaj już bynajmniej nie obwiniając „duszy rosyjskiej” – że na ogromnych przestrzeniach między Europą a Azją w taki sam niewolniczy sposób tworzyłyby swą historię inne nacje – Francuzi, Niemcy, Anglicy, gdyby to właśnie oni zapuścili swe korzenie wśród „lasów i stepów, topieli i równin, w polu siły rozpościerającym się między Europą i Azją”. Mnóstwo narodów na świecie, jak twierdził pisarz, przechodziło w swych dziejach przez wyboje „drogi rosyjskiej”, nawet nie wiedząc, że Rosja istnieje. To była ich własna droga niewolnicza, którą w drugiej połowie XX wieku na ogół odrzuciły... Dlatego też i Rosja miała w oczach Grossmana takie samo prawo do wolności, jak wszystkie inne podobne do niej narody, które niedawno przeszły szlak od zniewolenia do wolności:

„Gdzież jest epoka rosyjskiej wolnej duszy ludzkiej? Kiedyż ona nadejdzie? (...) A może jej nie będzie, może nie nadejdzie nigdy?”

Ale fatalizmu tu nie ma. Epoka wolności, w którą Grossman jako pisarz często wątpił, jawiła się jako w pełni realna olśnionemu więźniowi łagrów Iwanowi. Najpierw konstatował on ironicznie, że słynna „trójka” Gogolowska, która pędzi jak Rosja naprzód ku przyszłości, przekształciła się demonicznie w ZSRR w równie słynną stalinowską „trójkę” NKWD, która „podpisuje najwyższy wymiar kary”. Potem jednak, nie wiadomo skąd, zaświtała w głowie Iwana po takich przemyśleniach jasna nadzieja:

„Ulga przyszła jednak zupełnie skądinąd: powlekli mnie znów na przesłuchanie, nie dali odetchnąć. I zrobiło mi się lżej. I wierzę w nadejście wolności. Do diabła

z tym ptakiem – trójką, co pędzi, dzwoni i podpisuje wyroki. Wolność połączy się z Rosją!”.

Nikt nie jest więc u Grossmana nieuchronnie skazany na niewolę – ani mordowani, ani ich zabójcy, żaden naród czy kraj. Ludzie, którzy pozostawali ludźmi, „świadomie czy bezwiednie – nie dawali umrzeć wolności, nawet najgorsi chronili ją w swoich strasznych, okaleczonych, a jednak ludzkich sercach”. Powieść *Wszystko płynie* ukazała się po raz pierwszy w 1970 roku we Frankfurcie nad Menem, a od czasów późnej *pierestrojki* (1989) jest także wydawana w Rosji, choć do dziś nie uzyskała tam wysokiej oceny wśród rzeszy czytelników, nie mówiąc już o należnej jej sławie.

Dedykowane matce

Czas napisać o najwybitniejszym utworze Wasilija Grossmana, czyli o ukazującej się właśnie po polsku epopei *Życie i los*, w wysmienitym przekładzie Jerzego Czecha¹. Dzieło to, liczące prawie dziewięćset stronic gęstego druku, wymaga wnikliwej lektury. Trzeba bowiem ostatecznie spłacić dług Grossmanowi, który nawet w najtrudniejszych momentach swego życia – zarówno po opublikowaniu „źle obecnej” powieści *Za słuszną sprawę* (1952), jak i po „zaaresztowaniu” przez KGB *Życia i losu* (1960) – nigdy o Polakach nie zapominał.

Polska jest wspomniana po raz pierwszy, gdy w kacie hitlerowskim dyskutują zawzięcie na temat działań Armii Czerwonej Michał Sidorowicz Mostowski, stary bolszewik i „kominternowiec”, oraz Czerniecow, niedawny „mieszewik”, który w 1921 roku wyemigrował na dwadzieścia lat z Rosji Radzieckiej do Paryża (do łagru trafił „za apele do pracowników bankowych, by sabotowali zarządzenia nowej niemieckiej administracji”):

„Michał Sidorowicz na serio się rozgniewał. (...)

– Tutaj, w obozie, wierzą w nas Anglicy, Francuzi, Polacy, Norwegowie, Holendrzy! Ocalenie świata leży w naszych rękach! W sile Armii Czerwonej! To jest armia wolności!

– Oj, czy aby zawsze? – przerwał mu Czerniecow. – A zagarnięcie Polski do spółki z Hitlerem w trzydziestym dziewiątym roku? A rozjechane waszymi czołgami Łotwa,

U Grossmana wola pracy była tak samo nierozumna jak instynkt życia, tak samo irracjonalna i nie do przewyciężenia.

¹ Przekład czyta się trudniej niż oryginał – ale to nie wina tłumacza, który bardzo dobrze zna oba języki i realia. Świat opisywany przez Grossmana jest znacznie łatwiejszy do zrekonstruowania w mowie rosyjskiej. W oryginale język jest „przezroczysty”, czytelnik, nie zatrzymując się na nim, zmierza od razu myślami ku wydarzeniom i ich wymowie. W polskim zaś tłumaczeniu język musiał pozostać „nieprzezroczysty”, przez co skupia na sobie uwagę odbiorcy, bo opisuje – mówiąc słowami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – „inny świat”. Ciekawe więc byłoby porównanie z przekładem niemieckim. Grossman podjął się wszak trudu opisanie świata moralnie przenicowanego, w którym stalinizm i nazizm pełniły funkcje bardzo podobne...

Estonia, Litwa? A wtargnięcie do Finlandii? Wasza armia i Stalin zabierali małym narodom to, co dała im rewolucja. A zdławienie powstań chłopskich w Azji Środkowej? A rozgromienie Kronsztadu? Wszystko to walka o wolność i demokrację?”

Może z dzisiejszej perspektywy pytania mienszewika Czerniecowa powinny mieć tylko charakter retoryczny – czy jednak Grossman nie zyskuje na aktualności i teraz, gdy tak wielu obywateli Federacji Rosyjskiej w niedawnej ankiecie „Imię Rosji” (2008)

Pisarz dowiódł, jako jeden z pierwszych, że Stalin był pojętym uczniem Lenina.

opowiedziało się za Stalinem jako głównym – po mitycznym trzynastowiecznym Aleksandrze Newskim – bohaterze narodowym tysiącletniej historii Rusi i Rosji? Opinie szlachetnego mienszewika Czerniecowa sprawiają, że widzimy, jak bliski jest on samemu Grossmanowi, oczywiście już temu z czasów po 1956 roku, gdy tworzył swe największe dzieła –

dopiero wtedy bowiem mógł powiedzieć, że rozumiał wszystko.

Z polskiego punktu widzenia nader ciekawy jest jeszcze jeden fragment epopei, gdy bolszewik Michał Mostowski, pojmany przez Niemców pod Stalingradem, jest wieziony pociągiem do Niemiec, do kacetu:

„Kiedy pociąg jechał przez terytorium Generalnego Gubernatorstwa, w przedziale pojawił się nowy pasażer – polski biskup, siwy, wysoki, przystojny mężczyzna o pulchnych młodzieńczych ustach i tragicznym wzroku. Od razu zaczął opowiadać Mostowskiemu o represjach, jakim poddał Hitler polskie duchowieństwo. Mówił po rosyjsku z silnym akcentem. Kiedy jednak Michał Sidorowicz zaczął źle mówić o papieżu i katolicyzmie, umilkł i na pytania odpowiadał lakonicznie, po polsku. Po kilku godzinach wysadzono go w Poznaniu”.

Nasuwa się pytanie, czy Grossman jako korespondent wojenny spotkał podobnego polskiego biskupa? Wcale nie należy ono do naiwnych, pisarz bowiem najczęściej przetwarzał na literaturę to, co sam zobaczył. Gdzieś w podtekście wspomnianej sceny z biskupem widzimy też realną postać papieża Piusa XI, który 8 lutego 1930 roku w liście do kardynała Basilia Pompilego ostro osądził prześladowania religijne w ZSRR, a 14 marca 1937 roku w encyklice *Divini Redemptoris* potępił *ex cathedra* „bezbożny komunizm”. W stalinowskim Kraju Rad wywołało to oczywiście falę krytyki – papieża i katolików odsądzano w Moskwie od czci i wiary. Mostowski powtórzył więc tylko to, co wcześniej dało się wyczytać w gazetach...

Przede wszystkim jednak zdumiewa – w sensie pozytywnym – współczucie okazane przez narratora *Życia i losu* (*alter ego* Wasilija Grossmana, rosyjskiego Żyda) biskupowi. Jakże musiał się poczuć zraniony ów hierarcha bez imienia, gdy uznany już przez niego za współtowarzysza niedoli Rosjanin uderzył nagle w to, co było dlań najcenniejsze... Wcześniej biskup rozmawiał z Mostowskim w jego języku, choćby i łamanym – ale potem zamilkł... Znów nasuwają się pytania: co się potem stało, do jakiego obozu trafił katolicki biskup, zginął czy też przeżył?

Grossman potrafił upomnieć się o sprawiedliwość nie tylko w imieniu swojego narodu (był zarówno Żydem, jak i Rosjaninem), ale każdego innego, zwłaszcza jeśli ten naród był prześladowany w jakimś okresie swych dziejów. Broni więc Litwinów, Ukraińców, Białorusinów, Łotyszy, Estończyków, Czerkiesów, Węgrów, Finów, Żydów, Niemców czy Rosjan. Wygłasza nawet rodzaj apologii wolności, posługując się odwołaniem do niedawnych buntowniczych powstań wszystkich tych narodów przeciwko tyranom:

„Wielkie powstanie w getcie warszawskim, powstania w Treblince i Sobiborze, olbrzymi ruch partyzancki w dziesiątkach zniewolonych przez Hitlera krajów, postalinowskie powstanie w Berlinie 1953 roku i węgierskie powstanie roku 1956, powstania, które po śmierci Stalina ogarnęły obozy na Syberii i Dalekim Wschodzie, bunt, które w tym samym czasie wybuchły w Polsce, studenckie protesty przeciwko zdławieniu wolności myśli, które przetoczyły się przez wiele miast, strajki w licznych fabrykach pokazały, że dążenie do wolności jest wrodzone, że nie da się go wykorzystać. Stłumiono je, ale nie unicestwiono. Człowiek obrócony w niewolnika był nim z wyroku losu, ale nie z natury”.

Państwo sowieckie jeszcze podczas II wojny światowej wprowadziło do ankiety personalnej słynny punkt piąty, w którym wypełniający musiał określić swoją narodowość:

„Piąty punkt. Taki zwyczajny, który nic nie znaczył przed wojną, a teraz jakiś szczególny... Sztrum, naciskając pióro, zdecydowanymi literami napisał: »Żyd«. Nie wiedział, co dla setek tysięcy ludzi będzie wkrótce znaczyć odpowiedź na piąty punkt w ankiecie: Kałmuk, Bałkar, Czeczen, Tatar krymski, Żyd...”.

Grossman jednak już wiedział, co oznaczało – po wojnie obserwował przecież zsyłanie całych narodów w odległe rejony Związku Radzieckiego – ten los dotknął właśnie Czeczenów, Tatarów krymskich, Kałmuków, Bałkarów, Żydów... Jeden ze współczesnych Grossmana, skądinąd utalentowany pisarz Arkadiusz Pierwiecew, w zapomnianej dzisiaj powieści *Honor za młodość* (1948, Nagroda Stalinowska 1949) określił wszystkich krymskich Tatarów mianem „nacji zdrajców”.

Epopeja Grossmana z okresu II wojny światowej i bitwy stalingradzkiej 1942-1943 pokazuje niezwykle bogatą galerię postaci, z których wiele ma swoje realne pierwowzory (autor częściowo wzorował się na powieści *Wojna i pokój* Lwa Tołstoja). Akcja toczy się w oddalonych od siebie o tysiące kilometrów różnych miejscach Europy – od Niemiec aż po Ural. Pierwsza część opowiada o ludziach w nazistowskim kacecie w Niemczech. Jedną z następnych „nowel” epopei przedstawia niewolników w stalinowskim łagrze, trafiamy oczywiście także pod Stalingrad w kluczowym momencie dziejów Europy i całego cywilizowanego świata... Grossman pytał, jak to się stało, że naród, który zwyciężył w tej strasznej kampanii, trafił po wojnie do jeszcze większej niewoli, a Niemcy, którzy przegrali, zdołali ustanowić

u siebie demokrację? W powieści zostały także opisane wydarzenia mające miejsce w Kazaniu, w Tatarstanie, w Ufie w Baszkirii, w Samarze nad Wołgą, na przykawkaskich stepach kałmuckich, w Kijowie, czyli „matce grodów ruskich”, teraz zajętej przez Niemców, na nigdy nie zdobytym Uralu, w Berdyczowie, gdzie jako Żydówka zginęła ukochana matka Grossmana (w młodości nauczyła go czytać w oryginale literaturę francuską).

Jednym z najbardziej wstrząsających fragmentów jest list matki Wiktora Sztruma, która mieszka w zajętych przez Niemców Berdyczowie i ma świadomość, że wkrótce zginie wraz z innymi. Kreśląc tę postać, Grossman oddawał hołd własnej matce. Obwinił się całe życie, że nie zdołał jej uratować z rąk nazistowskich katów, nie wiedział nawet, jak zginęła ani gdzie spoczywa.

„Wiesz, Witieńka, co poczułam, kiedy trafiłam za druty? Myślałam, że będę przeżazona. Ale wyobraź sobie, w tej zagrodzie dla bydła zrobiło mi się źle na sercu. Nie, to nie dlatego, że mam niewolniczą duszę. Nie. Nie. Otaczali mnie ludzie dotknięci tym samym losem, w getcie nie musiałam już chodzić po jezdni jak koń, nie było złośliwych spojrzeń, a znajomi nie unikali mnie, tylko patrzyli mi w oczy. W zagrodzie wszyscy noszą stempel, którym oznakowali nas faszyci, tutaj więc nie ciąży mi on tak na sercu. Tu poczułam się nieszczęśliwym człowiekiem, a nie wyjętym spod prawa bydłem. Dlatego było mi źle.

Mój Boże, co za nędza wokół! Niechby ci, którzy mówią, że Żydzi są bogaci, że zawsze mają przygotowane zapasy na czarną godzinę, popatrzyli na nasze Stare Miasto. Właśnie nadeszła ta czarna godzina, trudno o czarniejszą. Przecież na Starym Mieście są nie tylko przesiedleni z piętnastoma kilogramami bagażu, zawsze byli tutaj rzemieślnicy, starcy, robotnicy, pielęgniarki. W jakiej straszliwej ciasnocie mieszkali i mieszkają! Jak jedzą! Gdybyś tylko spojrzeł na te na wpół rozwalone, wrosnięte w ziemię chałupy.

Ale chciałam ci opowiedzieć o czym innym. Nigdy nie czułam się Żydówką, od lat dziecięcych obracałam się w środowisku rosyjskich przyjaciółek, najbardziej ze wszystkich poetów lubiłam Puszkina, Niekrasowa, sztuką zaś, na której płakałam razem z całą widownią, uczestnikami zjazdu rosyjskich lekarzy ziemskich, był *Wujaszek Wania* ze Stanisławskim. A kiedy byłam czternastoletnią dziewczynką, Witia, i nasza rodzina wybierała się na emigrację do Ameryki Południowej, powiedziałam tacie: »Nigdzie się nie ruszę z Rosji, wolę się utopić«. I nie wyjechałam.

Ale w tych okropnych dniach moje serce wypełniło się macierzyńską czułością wobec narodu żydowskiego. Tego uczucia dotąd nie znałam. Przypomina mi moją miłość do Ciebie, drogi synku.

W sąsiednim domu mieszka dziewczyna z Polski. Opowiada, że tam akcje odbywają się nieustannie, morduje się całą ludność żydowską, tak że Żydzi zostali tylko w kilku gettach – w Warszawie, Łodzi, Radomiu. I kiedy wszystko to przemyślałam,

stało się dla mnie absolutnie jasne, że zebrano nas tutaj nie po to, żeby zachować przy życiu, jak żubry w Puszczy Białowieskiej, ale na ubój. Zgodnie z planem przyjdzie kolej i na nas, za tydzień lub dwa. Ale wyobraź sobie, że wiedząc o tym, nadal leczę chorych i mówię: »Jeśli pan będzie systematycznie przemywał lekarstwem oczy, to za parę tygodni pan wyzdrowieje«”.

To matce, Jekaterinie Sawieljewnie, zabitej przez nazistów w Berdyczowie, Grossman zadedykował swoją epopeję *Życie i los*.

Szyf przeciw bolszewikom i nazistom

Gdy w 1960 roku Grossman złożył wreszcie powieść *Życie i los* do publikacji w moskiewskim piśmie „Znamia”, przerażeni redaktorzy oddali maszynopis KGB. W domu pisarza przeprowadzono rewizję, dwa egzemplarze utworu „zaaresztowano”, jednakże, chwała Bogu, w czasach Chruszczowa za takie utwory już nie rozstrzeliwano. Dzielnym Grossman, gdy tylko sytuacja nieco się uspokoiła, napisał w 1961 roku list do Nikity Chruszczowa, pytając, czy w pełnej nadziei atmosferze po XX i XXII Zjeździe KPZR (1956 i 1961 rok) powieść nie mogłaby się jednak ukazać? Chruszczow milczał, a Michaił Susłow, który zaprosił pisarza do siebie, prorokował, że takie powieści będą mogły być publikowane w Związku Radzieckim za jakieś dwieście, dwieście pięćdziesiąt lat. Szczęśliwie jednak przezorny Grossman posiadał jeszcze inne egzemplarze swego *opus magnum*. Ocalony maszynopis dzięki staraniom Siemiona Lipkina, Władimira Wojnowicza i Andrieja Sacharowa został wywieziony na Zachód i opublikowany w Lozannie w 1980 roku. Po tej publikacji Wasilij Grossman został wreszcie uznany za pisarza, dzięki któremu odrodziła się w rosyjskiej literaturze wielka humanistyczna tradycja drugiej połowy XIX wieku. I mógł – niestety, już *post mortem* – stanąć godnie obok największych rosyjskich twórców XX stulecia: Borysa Pasternaka, Michaiła Bułhakowa, Aleksandra Sołżenicyna, Władimira Nabokowa, Wałłama Szalamowa, Iwana Bunina, Andrzeja Płatonowa i Izaaka Babla.

* * *

Szeroka panorama tyłu ludzkich losów stwarza ogromne trudności w lekturze, szczególnie gdy ktoś pragnie prześledzić dokładnie dzieje głównych postaci, zaobserwować codzienne wydarzenia z ich życia, krzątaninę przy sprawach zwykłych. Przecież dla pisarza liczy się nie tylko światopogląd, udział w wielkich bitwach, tragiczne dni w łagrze albo kaciecie. Grossman czytelnikowi zadania nie ułatwił, bo wcześniejsze losy większości bohaterów różnych narodowości, pozycji społecznej i przekonań przedstawił już w pierwszej części dylogii – w powieści *Za słuszną*

sprawę. Teraz spotykamy ich ponownie. Pojawiają się też co chwilę postaci nowe, choćby *padre* Gardi, włoski ksiądz katolicki w kaciecie w Niemczech, który potrafi zachować godność w każdej sytuacji. Stary bolszewik Mostowski obserwował w niemieckim obozie jego nocne modlitwy na klęczkach, pilnie słuchał słów o miłosierdziu Boga i Madonny. *Padre* Gardi umie rozmawiać po ludzku ze wszystkimi – także z tymi, którzy w Boga nie wierzą; wykazuje zainteresowanie dołą prawosławnych chrześcijan w ZSRR:

„Nigdy nie ganił starego komunisty z Rosji za ateizm, często natomiast wypytywał go o Związek Radziecki. Słuchając Mostowskiego, Włoch kiwał głową, jakby przytakując opowieściom o pozamykanych cerkwiach i klasztorach, o olbrzymich dobrach ziemskich odebranych przez państwo Synodowi”.

U Grossmana są tchórze i oportuniści, lecz także zwykli ludzie, herosi, starzy i młodzi komuniści, dawni „kominternowcy”, „mienszewicy” i „eserowcy”, dzielni żołnierze i stalinowscy komisarze na froncie, zecy i więźniowie kacetów, matki, które utraciły na zawsze synów, oraz żony, którym mężów aresztowano, a one są z innym. Są też dziewczyny, które odnajdują swoją pierwszą miłość, ale chłopiec, jeszcze nawet dobrze nie poznany, pójdzie na front i już nie wróci. Są tam fizycy i biologowie, leniniści, staliniści i antystaliniści, ludzie wszystkich nacji, których „życie”, niestety, zostało napiętnowane przez fatalny, tytułowy „los”:

„Ludzie mówili różnymi językami i nie rozumieli się nawzajem, ale złączeni byli wspólną dołą. Znaczący fizycy molekularnej czy starożytnych rękopisów leżeli na pryczach obok włoskich chłopów i chorwackich pastuchów, nieumiejących się nawet podpisać. (...) Wielu trafiło do obozu za krytyczne uwagi o reżimie hitlerowskim, wypowiedziane w rozmowach z przyjaciółmi, za dowcipy polityczne. Nie rozrzucali ulotek, nie należeli do podziemnych organizacji. Oskarżono ich, że mogliby to wszystko zrobić. (...) Trafiali tu zestrzeleni nad Niemcami lotnicy angielscy i amerykańscy, ale i dowódcy czy komisarze Armii Czerwonej, którymi interesowało się gestapo. (...) Siedzieli tutaj ludzie z liliowymi winklami na kurtkach – niemieccy emigranci, którzy wyjechali z Niemiec po zwycięstwie Hitlera. (...) Ludzie z zielonymi winklami – złodzieje, włamywacze – stanowili w obozie formację uprzywilejowaną; władze wykorzystywały ich przy nadzorowaniu politycznych. (...) W obozie znajdowali się ludzie o losie tak swoistym, że nie potrafią znaleźć żadnej naszywki, by przydzielić ich do jakiejś kategorii. Ale i dla Hindusa, zaklinacza węży, i dla Persa, który przyjechał z Teheranu, żeby studiować malarstwo niemieckie, i dla Chińczyka, studenta fizyki, nazizm uznał za odpowiednie legowisko na pryczy, miskę zupy i dwanaście godzin pracy przy regulówce”.

Co znaczy ta Grossmanowska opozycja zawarta już w tytule – życie i los? Nie ma wątpliwości, że „los” to moloch, Hegłowski *Weltgeist* albo marksistowsko-leninowska „walka klas”, która pochłania indywidualne „życie” ludzkie, czyli konkretną

Osobę. „Los” to fatum, ale współtworzone, niestety, przez ludzi, uosobione zarówno w postaciach tyranów XX wieku, jak i ich bezwiednych pomagierów, budowane pokorą i biernością całych narodów lub poszczególnych osób. „Życie” z kolei, często zniewolone przez ów „los”, bywa jednak inspirowane przez „wolność”. Przypomina to inną, znaną z *Fausta*, opozycję: „Mój przyjacielu, szara jest każda teoria, a tylko złote drzewo życia się zieleni”.

Postawa Grossmana najbardziej kojarzy się jednak z heroicznym Syzyfem, takim, jakim go widział Albert Camus.

Sam Grossman, jak Camus, też do końca życia pozostał heroicznym ateistą.

Dobro wobec dobroci

Klucz do zrozumienia przesłania *Życia i losu* znajduje się w samym środku tej powieści, we fragmencie o Dobru, które wbrew swym intencjom prowadziło w historii do straszego zła. Jeden z ukochanych Grossmanowskich bohaterów, Ikonnikow-Morż, mówi:

„Widziałem straszliwe cierpienia chłopstwa, a przecież kolektywizację zaprowadzono w imię powszechnego dobra. Ja w dobro nie wierzę, wierzę w dobroć”.

Ikonnikow w młodości był tołstojowcem, a w kaciecie uważano go za współczesnego „szaleńca Bożego” (na Starej Rusi – *jurodiwij*):

„Kiedy zaczęła się wojna i Niemcy zajęli Białoruś, Ikonnikow był świadkiem męczarni jeńców, egzekucji Żydów w miastach i miasteczkach. Znowu wpadł w rodzaj hysterii, zaczął błagać znajomych i nieznajomych o ratunek dla Żydów; sam zresztą próbował ratować żydowskie dzieci i kobiety. Niebawem ktoś na niego doniósł, on zaś jakimś cudem uchronił się od szubienicy i trafił do obozu”.

W obozie *jurodiwij* Ikonnikow zachowuje się jak święty, odmawia heroicznie udziału w budowie obozu zagłady i zostaje na miejscu zastrzelony przez strażnika. Wcześniej jednak pisze traktat filozoficzny o Dobru i Złu, który stanowi naturalną część powieści, ale (podobnie jak fragment „Wielki Inkwizytor” u Dostojewskiego) może być też uważany za szczytowe osiągnięcie rosyjskiej myśli filozoficznej:

„Wiele książek napisano o tym, jakimi sposobami walczyć ze złem; o tym, czym jest dobro, a czym zło.

Ale wszystkie one budzą tylko smutek, któż bowiem zaprzeczy temu: Gdziekolwiek zaświta jutrzienka dobra – które jest wieczne i nigdy nie ulegnie złu, które też jest wieczne, ale nigdy nie zwycięży dobra – tam od razu giną niemowlęta, starcy i leje się krew. Nie tylko ludzie, nawet Bóg jest zbyt słaby, żeby pomniejszyć zło życia.

Widziałem, jak wielka jest moc idei dobra społecznego, która narodziła się w mojej ojczyźnie. Widziałem tę siłę podczas masowej kolektywizacji, widziałem ją w 1937 roku. Widziałem, jak w imię idei, równie pięknej i humanitarnej jak chrześcijańska,

mordowano ludzi. Widziałem wsie ginące śmiercią głodową, widziałem umierające w śniegach chłopskie dzieci, widziałem transporty wiozące na Syberię setki, tysiące mężczyzn i kobiet z Moskwy, Leningradu, ze wszystkich miast Rosji, ludzi, których uznano za wrogów wielkiej, świetlanej idei dobra społecznego. A chociaż idea była wielka i piękna, to niemilosiernie zabijała jednych, niszczyła życie innym, odrywała żony od mężów, dzieci od ojców.

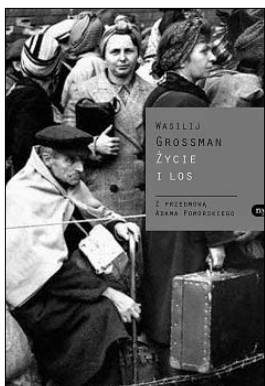
Teraz niemiecki narodowy socjalizm sterroryzował świat. Lament i jęki mordowanych wypełniają powietrze. Niebo stało się czarne, dymy z pieców krematoryjnych zakryły słońce.

Ale nawet te zbrodnie, jakich dotąd nie widział nie tylko wszechświat, ale nawet człowiek na Ziemi, popełnia się w imię dobra.

Dobra należy szukać nie w przyrodzie, nie w nauce kaznodziejów i proroków, nie w pracach wybitnych socjologów i wodzów ludu, nie w etyce filozofów... Zwykli ludzie niosą w sercach miłość do tego, co żywe, kochają życie w sposób naturalny, mimowolny i żałują, że przemija; cieszą się ciepłem ogniska domowego po ciężkim dniu pracy, ale nie rozpalają stosów na placach.

Tak więc oprócz wielkiego, groźnego dobra, istnieje zwykła ludzka dobroć. Ot, choćby dobroć staruszki podającej jeńcowi kawałek chleba czy dobroć żołnierza, który rannemu wrogowi pozwala się napić ze swojej manierki. Dobroć młodzieńca litującego się nad starcem, dobroć chłopaka ukrywającego w stodole starego Żyda. Albo dobroć strażników, którzy narażają się, ale przekazują listy jeńców czy więźniów – nie do ludzi tych samych przekonań, ale do żon i matek”.

Tak oddawał hołd wszystkim żywym i umarłym Wasilij Grossman, który nie musiał wierzyć w Boga, aby dobrze czynić. 🙏



Wasilij Grossman, *Życie i Los*,
Warszawa 2009, Wydawnictwo WAB,
patronat medialny „Nowa Europa Wschodnia”